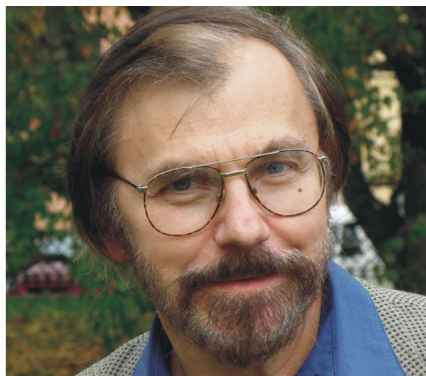


Listy do Pani A. (64)



W Kongresówce i w Galicji

Droga Pani!

Po powrocie ze Strugi trafiłem na warszawskie „dalsze ciągi” literackie. Oczywiście nie na taką „strugową” skalę. Tam poetów traktuje się inaczej, a nazwy Most Poetów, Aleja Poetów, Dom Poezji mówią same za siebie. Przyjemnie chodzić taką aleją czy mostem, i wcale to nie jest jakaś mała kładka.

Ale i my się staramy. Co prawda bardziej szanujemy poetów zmarłych niż żywych. Tych ostatnich właściwie mamy za nic, dopóki są wśród nas. Zmarły już nic nie chce, nie stanowi konkurencji, wniosku o stypendium nie złoży. A po śmierci można go na swój sposób kanonizować, obracać jego nazwiskiem niczym kapitałem.

Byłem na spotkaniu poświęconym pamięci Kazimierza Furmana, poety z Gorzowa Wielkopolskiego. Wspominali go i mówili o jego twórczości Teresa Rudowicz, Leszek Żuliński, Agnieszka Kopaczńska-Moskaluk i Beata Patrycja Klary.

W ich opowieściach jawił się Furman jako „poeta przeklęty”, wieszcz-cygan artystyczny, legenda bohemy gorzowskiej. Do pewnego stopnia to prawda. Ale kiedy żył miano go za dziwaka, pijaka, wręcz wariata. Czy teraz będzie w Gorzowie ulica Kazimierza Furmana? Poety, chlubny miasta? Wszystko w naszej rzeczywistości jest możliwe. A najbardziej dopiero pośmiertne docenienie.

Nie znałem go. Widywałem, kiedy w dobrych czasach Gorzów był punktem programu poznańskiego Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Szczupły, z długimi włosami, nieco zaniedbany, mało komunikatywny – nie robił, przynajmniej na mnie, dobrego wrażenia. Był nieufny, z przygodnie poznanymi ludźmi trudno nawiązywał kontakt. Ale dużo później, kiedy byłem w jury gorzowskiego konkursu poetyckiego, przyszedł po obradach jury. Przywitał się ze mną. Zapamiętał, choć nie widzieliśmy się od lat. To było niedługo przed jego śmiercią.

Słabo znam jego poezję, jakoś się nią nie entuzjazmowałem. Trudno mi ją oceniać, ale dla mnie nie był to jednak twórca rangi Gąsiorowskiego, Jerzyny czy Żernickiego.

Ostatnio jakaś grypa żołądkowa krążyła po Warszawie i uniemożliwiła mi wzięcie udziału w wieczorze wspomnień urządzonym w pierwszą rocznicę śmierci Romana Śliwonika. Cały czas słyszałem Pani przestrożę, abym nie ważył się wychodzić z domu, tylko się dobrze wykurować. Ze mną jak z dzieckiem. Zostałem więc w domu, choć

bardzo żałowałem, bo chciałem iść, zwłaszcza, że Romka od lat dobrze znałem. Okazuje się, że w życiu, w drobniejszych i poważniejszych sprawach decyduje za nas ślepy los, i często unicestwia nasze plany i zamiary.

Jak na nasze warunki literackie można powiedzieć, że mieliśmy wysyp jubileuszy. Co prawda dwa, ale podkreślam: jak na nasze warunki.

Rysiek Ulicki obchodził siedemdziesięciolecie urodzin. To była impreza z rozmachem! Lubi Pani cygańską muzykę i taniec? Wystąpił Don Wasyl ze swoim barwnym romskim zespołem. Grał na saksofonie Lech Szprot. Całością dowodziła Maria Ulicka z właściwą sobie swadą i dowcipem. Po części oficjalnej siedzieliśmy jeszcze długo przy winie, rozmawiając, śmiejąc się, nie wierząc w tak nieublagany upływ czasu. Patrząc na Rysia rzeczywiście trudno sobie uświadomić, że to już siódmy krzyżyk.

Jednocześnie Rysiek promował swoją książkę „Ludzie jak kamienie milowe”. To zbiór wywiadów z pięćdziesięcioma osobami z kręgu polityki i kultury, m.in. Aleksandrem Kwaśniewskim, Zbigniewem Religą, Eugeniuszem Kabatcem, Adamem Marszałkiem... Ciekawe, pasjonujące rozmowy. Bardzo Pani polecam.

Obrodziły nam te „siódme krzyżyki”. Niedługo potem był jubileusz Mietka Machnickiego. Tu jeszcze trudniej było uwierzyć, że istotnie to siedemdziesiąta rocznica urodzin. Mietka znam ponad czterdzieści lat, spotykaliśmy się często w kawiarni Związku, kiedy jeszcze nie była lokalem publicznym. Siadaliśmy razem przy stoliku, rozmawialiśmy o poezji i właściwie o wszystkim, wymienialiśmy się tomikami. Dziś Mietek jest ten sam. Młodzieniec, po prostu! Trudno przypuścić, że nie jest to jubileusz pięćdziesięciolecia.

Jubileusz Machnickiego także połączony był z promocją jego najnowszego tomu „Lawa się nasładza skorupa ciemnieje”. Znalazły się tu wiersze o klasycznej, sylabotonicznej formie, ale o bardzo współczesnych treściach. Leszek Żuliński powiedział w pewnym momencie, że okazuje się, iż w stare futro można włożyć coś nowego. Musiałem mieć w tym momencie oblesny wyraz twarzy, bo Leszek głośno zauważył: „Stefan, nie uśmiechaj się. Ja mówię tylko o poezji...”, co wywołało salwę śmiechu.

A potem znowu rozmowy przy winie, wspomnienia... Muszę Pani powiedzieć, że podczas takich imprez przenoszę się w przeszłość do czasów, które już nie wrócą; do ludzi, których już nie ma, a przecież towarzyszyli mojej młodości. Ale zaraz wracam, kiedy wśród zebranych dostrzegam Panią.

Wróciły też spotkania na Willowej. Inauguracyjne odbyło się z udziałem Kaliny Izabeli Zioly. Przyszło sporo osób, wprowadziłem – jak zwykle – w klimat jej poezji, a reszta już należała do autorki. Przyjemne są te spotkania, w bardzo, jak to się teraz mówi „klimatycznym” otoczeniu. Mam zresztą wrażenie, że Pani tam bywa, i to nie od dziś. Także i na moim wieczorze autorskim w Art Cafe na Jasnej w Warszawie. Dotychczas te wieczory odbywały się we Włochach. Na Jasnej, w nowym lokalu, cykl spotkań ich animatorka Irena Tetlak, poetka, autorka bardzo dobrego debiutanckiego tomu wierszy, zainaugurowała właśnie moim wieczorem. Przyszło nawet sporo osób, Irena opowiadała o moich wierszach, inspirowała mnie, a ja czytałem, komentowałem. Było i lirycznie, i wesoło.

Ani się obejrzałem, kiedy przyszedł termin Międzynarodowej Galicyjskiej Jesieni Literackiej. Krysia Konecka przyjechała z Białegostoku, i wyruszyliśmy w trasę. Pogoda dopisała. Ale drogo-

wcy nie. W okolicach Żabna i Radłowa niemal wszystkie drogi w remoncie, czyli rozkopane. Krążyliśmy niemal godzinę, kiedy wreszcie i to zupełnie przypadkowo, znalazłem zjazd na Wojnicz. Informacji żadnej, bo po co? Miejscowi i tak wiedzą. Kilka takich przygód spotykało nas podczas całego pobytu. Nie tylko mnie. Błądzili po bezdrożach wszyscy.

Miało to również swój urok, ponieważ atmosfera spotkań była znakomita, zwłaszcza koncerty poetycko-muzyczne, z udziałem obchodzącej trzydziestopięcioletnia założenia Ostatniej Wieczery w Karczmie Przeznaczonej do Rozbiórki, liryczne i wzruszające. A nad wszystkim czuwał niezmordowany Andrzej Grabowski. Tym większa zasługa, że sam zajmuje się organizacją tego festiwalu, przy wsparciu żony Grażyny i syna Artura. Grażynka, jak zwykle, była dobrym duchem całej imprezy, ciepła, życzliwa kobieta. Andrzej, zawsze pogodny, wyrozumiały i cierpliwy wobec niekiedy uciążliwych poetów, uwijał się wśród nas, informował, przydzielał miejsca spotkań. Tak było każdego roku, także i dzisiaj. Ale tegoroczna Jesień wydała mi się najlepsza.

A w Tarnowie mieliśmy dodatkowe przeżycie: wernisaż grafiki Artura Grabowskiego. Znałem inne jego prace, które były ilustracjami książek Andrzeja, projektami okładek almanachu festiwalowego. Ale te tutaj, w oryginale i odpowiednim formacie, robiły należyte wrażenie. Fascynująca jest precyzja, dopracowanie najmniejszego szczegółu, a przede wszystkim pracowitość wykonania każdego drzeworytu, potem odbitek. Czy Pani to także widziała? Chwilami wydawało mi się, że jest Panią ukrytą wśród publiczności.

Tydzień Galicyjski minął z szybkością światła. Najpierw spotkanie z władzami Ciężkowic, potem koncert finałowy. Spotkałem dawno niewidzianego profesora Bolesława Farena. Pamiętał o tym, że kiedyś recenzował jego książkę, bardzo też recenzję chwalił. Ucieszyłem się z tego spotkania. Bolesława znałem od dawna, i jesteśmy po imieniu. To bardzo przyjazny, życzliwy, ciepły człowiek.

Potem wraz z Krysią Konecką i Gezą Csebi wracaliśmy, pełni wrażeń i niedawnych wspomnień. Zawiozłem ich do Zawiercia. Tam wsiedli do pociągu warszawskiego, a ja poszedłem na sentymentalny spacer. Mieszkałem tam do 1959 roku. Chodziłem po ulicach i opowiadałem Pani o starym Zawierciu, pokazywałem miejsca, które zapamiętałem z dzieciństwa, porównywałem stan dzisiejszy z tym, jak zapamiętałem sprzed prawie pięćdziesięciu laty. Potem pojechałem do Pilicy, i tam również byłem z Panią. Którą wprowadzałem w mój świat – przeszły, a także dzisiejszy. Mamy tam grób rodzinny, tablice w klasztornej kościele, dom rodzinny mojego ojca, który już od dawna nie jest naszym domem... Wreszcie po posiłku – jak zwykle – w barze „U Ryśka”, pojechałem do Warszawy, zatrzymując się jeszcze na chwilę w Irządach, aby odwiedzić (i zarazem pokazać Pani) groby Szlichcińskich z Wygietłowa, rodziny mojej babki Elżbiety Jurkowskiej. Czytałem Pani inskrypcje i znowu czulem niemal realną Jej obecność. Potem już do Warszawy. Pod dwór nie pojeżdżałem, jakoś mi się nie chciało, byłem tam zresztą kilkakrotnie. Droga była dobra, bez niespodzianek. Tylko żal, że tak szybko skończyła się i Galicja, i sentymentalno-wspomnieniowa wycieczka.

Jednak z nadzieją, że jeszcze wszystko przed nami serdecznie Panią pozdrawiam –

STEFAN JURKOWSKI